

BATERIA

Mrok zapadł. Lokomotywa sapła ciężko, ciągnąc za sobą długi wąż nieoświetlonych wagonów. Orzełki ze ścian powydrapywane, a miejsce po nich zasmarowane czerwoną farbą. Na przodzie lokomotywy trzepocze się czerwona szmata, głosząc »wyzwolenie spod jarzma polskich panów i uszczęśliwienie wszystkich narodów« --- głodem, nędzą i bezprawiem!

Borowicz leżał wyciągnięty pod ławką wagonu, lecz nie mógł zasnąć. Wagon trząsł niemiłosiernie, a do tego miejsce to było nad samą osią. Kłął w ducha, lecz i tak był szczęśliwszy od innych, którzy stali ściśnięci jak śladzie. A byli i tacy, którzy musieli się zadowolić miejscem na dachu lub na węglarce. Tym nie zazdrościł paździenikowej zadeszczonej nocy.

W wagonie panowało niesamowicie ciężkie powietrze, ciemność i głucha cisza. Każdy z pasażerów wołał milczeć. Nawpół odurzony, leżał z wzrokiem wbitym w deski ławki. Był jakby w transie wspomnień. Przed jego oczami przesuwiał się niby film-fotomontaż z tak niedawno przebytych chwil. Chwil, które, przeleciawszy jak błyskawica, wyrwały w jego duszy głęboki i bolesny ślad. Nie mógł się otrząsnąć z tych wspomnień, po prostu nie mógł o niczym innym myśleć.

Wspomnienia napływały w dziwnie chronologicznym porządku.

...Najpierw widział więc zatłoczony pokój oficera mob. Potem te straszne trzy teczki: 1 --- Mob baterii, 2 --- Mob kolumny amunicyjnej i 3 --- Mob K. P. K.; potem on sam i na to wszystko ordynans-Piotruś i kobyła-»Zawiejak«. Rozpacz: »czy dam radę?« Potem jakaś cywilna, lśniąca limuzyna, zatrzymana na ulicy i cywil, pomagający wynosić karabinki z magazynu mob; młoda towarzyszka cywila składa je wewnątrz samochodu --- jadą do Sokolnik. Piotruś mówi, że słyszał, »jaze już wielu ułanów« z 14-ki poległo. Jakby niebardzo wtedy zdawał sobie sprawę --- tak mu się wciąż zdawało, że to przygotowanie na wielkie jesienne manewry.

Wielka sala w gimnazjum im. Królowej Jadwigi przy ul. Potockiego, w kącie duża tablica »2 bat.«. Na ziemi stos mundurów, czapek, pasów, menażek. Ostry zapach naftaliny. Nie do wytrzymania! Dwaj żołnierze rezerwiści, popielaci ze zmęczenia, z czerwonymi oczami, zanoszą się od kaszlu. Już 48 godzin wydają mundury i oporządzenie. Nie ma kim ich zmienić. Dla nowoprzybyłych już inna robota. Nie ma kim dosłać nawet pożywienia. Jedzenie przynosiła im z domu jego matka.

Są już koledzy, są już kanonierzy rezerwiści. Przychodzą konie i wozy.

Tu nowa rozpacz: przy wozach przeważnie uprząż sznurkowa --- rwie się. Na wóz ma iść 18 pocisków i skrzynia z prochem. A tu kilka wozów »siadło« już pod 10 pociskami. Na dobitkę jest rozkaz, że kolumna musi koniecznie zabrać całe 6 jednostek ognia. Takie mnóstwo amunicji! Przychodzi oficer rezerwy, dowódca kolumny. Ogląda wszystko i jest w rozpacz. Schodzą się cywile, baby --- gadają, radzą. Podchodzi stary gospodarz:

— Et, panowie, weźta mój wóz, a ja ten połamany zabiorę. Ja go sobie jakoś wyrychtuję!

Za nim poszli inni --- wieś Sokolniki »postawiła na koła« niemal że całą kolumnę amunicyjną.

Długa kolumna zjeżdża ulicą Stryjską w dół do miasta i potem do ładowania na rampę na Podzamczu. Dowódca baterii, korzystając

z przejścia przez miasto, idzie pożegnać się z żoną, która przed tygodniem powiła dziecko i teraz jeszcze bardzo się źle czuje.

Borowicz, jako oficer ogniowy, prowadzi baterię. Nie wstydzi się --- idzie z matką środkiem ulicy. Piotruś z tyłu prowadzi »Zawieję«. Na chodniku ludzie przystają. Jakiś starszy pan woła: »A wracajcie zdrowo!« --- i powiewa kapeluszem. A chłopcy odkrzykują wesoło: »Wióry polecą --- nie damy się!«

Jest rano. Działa rozmieszczone po składach drzewa w żydowskiej części miasta, obok dworca. Tabory stoją pod drzewami i w ślepych uliczkach. Upał nie do zniesienia. Chłopcy piekielnie zmęczeni, prawie trzy dni nikt oka nie zmrużył. Z ciemnych domów i brudnych uliczek wychodzą kobiety, szwargocząc między sobą. Za chwilę ukazują się garnki z wodą ze sokiem i lemoniadą, bułki, owoce. W małym sklepiku stara Żydówka przy pomocy żołnierzy wytacza z piwnicy już drugi syfon i darmo rozlewa wodę sodową w menażki i manierki. Przed południem przychodzi kilkanaście kobiet, obsiada w koło worek z ziemniakami i obiera je na obiad. Przy worku siedzi stara Żydówka obok dozorczyń, młoda uczenica i stara sklepikarka. Suche drzewo do kuchni przyniósł właściciel składu desek.

Przed wieczorem nowe wieści. Kraków zajęty. Chłopcy zaciskają pięści. Piotruś mówi:

— Ponie cniku --- jak ktoś z Cynstochowo zacyno, to kiepsko końcy.

Piotruś miał oczy wilgotne. Piotruś był »spod Cynstochowy chłopok«.

Przed zmrokiem --- załadowanie. Długi sznur wagonów ciągnie się wolno po nasypie kleparowskim. Mimo późnej pory wzdłuż nasypu stoją grupki ludzi, rzucają na lory pudełka z papierosami, cukierki, kwiaty. Z wagonów płyną nasze stare piosenki, ale --- rzecz dziwna --- nie te z koszarowych murów, lecz te, które nam śpiewały nasze matki oraz te z czasów legionowych: »Za Niemen heł precz« i »Wojenko, wojenko...« Borowiczowi przypomniała się matka. Gdy się żegnał, ścisnęło za gardło, bał się na nią popatrzeć, aby nie ujrzeć łez. Ale przekonał się, że w takich chwilach Polka nie płacze! Jakże mu wtedy było przykro, że Ryśka nie przyszła pożegnać się na dworzec. Przez cały czas mobilizacji była również zajęta, tak że ledwie raz widzieli się przez parę minut. Pracowała przy kuchni polowej dla uchodźców na dworcu Głównym. Miesiąc przed mobilizacją zaręczyli się. W dniu wyjazdu miały nadejść w nocy dwa transporty z ewakuowanymi dziećmi. Nie mogła się zwolnić...

Potem straszliwa praca: kucie koni w trzęsących wagonach przy świetle latarek ręcznych. Następane obrazy zaczęły się przesuwać w wyobraźni w wrotnym tempie.

Miedzy Gródkiem a Sądową Wisznią pierwsze bomby --- pierwsze trupy. Straszne... Potem, to już tylko woskowe lalki, leżące w rozmaitych pozach i widziane w rozmaitych okolicznościach. Nie zdawał sobie wówczas sprawy, że i on w pewnej chwili może być taką samą woskową lalką. Konie --- aż 32 --- ich ślepia pełne bólu, z poprzetrącanymi kregosłupami, połamany nogami... Teraz ci sami kowale, którzy ostatkami sił całą noc kuli, kręcą się między martwymi końmi i odrywają od kopyt z takim trudem przybijane nocą podkowy.

Pod Medyką bateria grzmi. Lecą pociski aż gdzieś hen nad szosę pod Radymnem. Naprzód, naprzód, idziemy! Rozkaz: wyciągnąć na szosę w kierunku Przemyśla. Naprzód, naprzód! Niemcy się cofają.

Pod samym Przemyślem --- w tył zwrot i marsz na Siedliska...

Noc. W chałupie chłop zakopuje na środku izby pszenicę w szkrzyni. Mościska, druga noc pod Sądową Wisznią... Błyski i huk. To szczęśliwa polówka — strzela. Ciężka artyleria czeka na szosie. Piechota zdobywa miasteczko. Niemiecki saper leży na szosie przy wjeździe do miasta. Ktoś przykrył go jego namiotem. Stanowiska pod cerkwią. Znowu nie możemy strzelać: dla armaty za wielki »najmniejszy celownik«, nie położy ognia na linii nieprzyjaciela, które są już za górkami. A innego stanowiska nie ma.

Wieczorem przez kompletnie rozbity rynek przechodzi dziwna kompania na złuzowanie innej. Idą czwórkami. Co za pstrokacizna! Są tam piechurzy, widać berety broni pancernej, Obrona Narodowa, Junacy, jest i marynarz, są i lotnicy. Całość prowadzi stary zarośnięty podporucznik w równie starej rogatywce o daszku jeszcze okutym białym metalem. Ludzie pomoczeni, ale idą w porządku, każdy z bronią. Z tyłu kompanii kilku żołnierzy popycha biedkę, od której koń pewnie padł. Na niej dwa karabiny maszynowe.

Na przedmieściu Sądowej Wiszni od strony Lwowa stoi rozbity niemiecki samochód pancerny.

Potem ten straszny nalot na kolumnę. Lecą niziutko cztery »rekiny«. Rozbite wozy i znowu — woskowe lalki.

Piwnica. Leży mała dziewczynka. Matka spazmuje: dziecko ma urwane obydwie stopy. Artyleria niemiecka kładzie huraganowy ogień na wieś. Pekają granaty — ogień rozpryskowy. W przerwach przemyka się od domu do domu. Znalazł wreszcie sanitariusza, który kończył opatrywać zgruchotane ramię wślademu gospodarzowi. Poszedł ratować dziecko, ale nie dotarł, bo sam został ranny. Z całej baterii ocalał tylko jeden zaprzęg przy działach, reszta leży pokotem od rozprysków granatów, bomb lotniczych i seryj karabinów maszynowych. Pędzi z jaszczem w pełnym galopie oszalały ze strachu zaprzęg jakiegoś pału.

Chłopcy machają płaszczami i zatrzymują konie. Wyprzegają całą szóstkę, jaszcz w rów, wprzegają do naszego dział, dosiadają koni i z miejsca niemal klusem wyjeżdżają z tego piekła. Dzielne chłopaki!

Teraz już dwa działa, a nie jedno, grzmiać z krańca wsi. Zapada zmrok. Krwawe łuny płonącej wsi łączą się w jedno morze ognia z zięjącymi lufami. Ogień na wieś ustał — teraz macają za baterią. Jacyś strzelcy z Obrony Narodowej toczą przez wieś trzecie dział. Działonowy ustawia je na szosie: do zgodnego chóru dołącza i ono. Czwarte stoi ponuro na drodze we wsi z rozbitym oporopowrotnikiem. Lecz i ono nie zostaje sierotą — Piotruś protestuje, ale »Zawieja« też idzie do zaprzęgu.

Noc czerwona od łun. Palą się wokół wsi ze sprzętem niemieckiej dywizji pancernej. Jakiś kapral prosi, by go wraz z jego ludźmi przyjąć do baterii — jego kompania rozbita. Jest ckm, biedka, koń i cała obsługa. Ubezpieczają baterię.

Droga bita na Gródek Jagielloński. Zapewne słyszą turkot, bo dostajemy rozpryski granatów nad samą szosą. Ogień nieobserwowany. Bateria rusza klusem przez pole ognia. Jezdni wymijają źle jakiś przewrócony wóz, mając w zaprzęgu konie wierzchowe. Działo wpada na ślup telegraficzny, który się wbija między łoże a koło. Granaty rwą się tuż. Jezdni padają w rowy. Działonowy nie traci głowy, odpina topór — kilka uderzeń i ślup leży na ziemi, działo wyjeżdża z pola ognia.

Ranek. Marsz po bezdrożach i piachach, nieomalże na przełaj, w kierunku Janowa. Działa są przeciągane kolejno w 16 koni. Ludzie nieomalże

zębami wydzierają działa z piachu. Konie w pianach. Upał szalony. Od kępki do kępki drzew, ciągle naloty. Syzyfowa praca!

Nowe stanowisko. Nie ma łączności z punktem obserwacyjnym. Patrol poszedł na linię i przepadł. Przychodzi oficer piechoty z radą, ażeby zabrać tabor z amunicją, bo Niemcy przeciskają się przez słabe ubezpieczenie na tyłach. Dowódca I. plutonu, ppor. S., jedzie, by przesunąć tabor z amunicją. Drugi dowódca plutonu, ppor. C., bierze kilku uzbrojonych ludzi z obsługi i idzie wzdłuż linii telefonicznej, aby się coś dowiedzieć na punkcie. Obydwaj przepadają. Borowicz zostaje sam.

Zapada ciemna noc. Porucznik piechoty przychodzi znowu. Zna go z garnizonu. Doradza, aby zwinąć stanowisko, bo nieprzyjaciel wieczorem okrążył i na pewno rano się ruszy --- bateria może być stracona.

Co robić? Trudna decyzja, straszna odpowiedzialność: bez rozkazu opuścić stanowisko. Łączność może zostać przywrócona i lada moment mogą zażądać ognia.

Ale można też stracić baterię! --- nalega piechur.

Borowicz rozważa. Decyduje się: Konie na baterię!

Konie podchodzą i wtedy staje się rzecz nieoczekiwana. Z rejonu baterii pada snop światła latarki, a na baterię i konie leci deszcz ognia i żelaza. Kwik rozbiegających się koni miesza się z jękami rannych.

Po chwili — cisza. Tu i ówdzie ktoś podnosi się z ziemi.

— No, chłopcy, szukać koni po lesie!

Zaczyna szarzyć. Na ziemi leżą znowu »woskowe lalki« i pozabijane konie. Tylko dwa działa zaprzężone. Ludzie usiłują znowu wydrzeć je z piachu. Trzeba się śpieszyć. O świcie już nie możemy tu być. Przy pozostałych dwu działach działonowi rozbierają zamki. Widać, jak przykra jest im ta czynność.

Na dole we wsi czeka dowódca dywizjonu. Cieszy cię, żeśmy z borów cało wymknęli. Lecz wykrzywia mu się twarz na wiadomość, że dwa działa zostały w lesie. Mówi do Borowicza ostro i bezwzględnie:

— Musi pan je zabrać. Zaprzęgi, które tu są, posłać do lasu. A ja dam panu wszystkie konie z mego zwiadu i zapasowe uprzęże.

Ludzi jest zaledwie kilkunastu. Reszta została na skraju wsi z karabinem maszynowym i karabinkami. Do lasu z zaprzęgami jedzie młody, energiczny kapral.

Uprzęży właściwie nie ma. Przy pomocy jakichś nieznanych żołnierzy Borowicz zaprzęga do dział po dwie byle sklecone czwórki. Dyszlowa para w uprzęży taborowej, woźnica powozi z przodka działa. Z zakrętu wsi wypada galopem nasze pozostawione w lesie działa. Jezdni krzyczą: »kapral zabity!« Drugi zaprząg już nie wraca. Odzywają się strzały na skraju wsi, a zekomy zabity kapral pędzi cwałem z lasu. Borowicz woła do niego:

— Uciekaj z działem, a ja tu z tymi dwoma zostanę!

Kule zaczynają gwizdać między zabudowaniami. Konie wierzchowce nie mogą ruszyć działa z miejsca. Ludzie »dra« za szprychy. Konie wreszcie ruszają — ludzie teraz popychają działa. Biegnie obok koni i popędza je patykiem. Za wsią, gdy mijają most, odzywa się ze wzgórza karabin maszynowy. Konie się rzucają — zgrzyt i trzask — działo obsuwa się z mostu. Prężą się postronki. Jedyny ratunek — odciąć je.

Ogień nieprzyjaciela kieruje się na most. Przez pola na przełaj »galopują« jakieś biedki piechoty. Za mostem pod górą stoi drugie dział. Cztery wierzchowce szarpią się napróżno. Ludzie nadaremnie starają się podepchnąć. Wierzchowce pod górę nie ruszą.

Wraz z działonowym staje przy dziale, które powoli grzęźnie w błotnistej rzeczce. Drżącymi rękami rozbierają zamek. Niektóre części pochłania rzeka, inne — drobniejsze — chowają do kieszeni. Nagle rechot i szumiący gwizd, wokoło rozbryzgi błota. Działonowy bombardier łapie się za ramię. Trzeba wiać — wielki czas. Na wzgórzach ukazują się szare sylwetki. Do działa pod górą już doprzężono odcietą na moście czwórkę. Działo rusza, biegną obok.

Przez głowę miga myśl jak błyskawica: Boże, to już dwa działa stracone! Jedno uszkodzone, niewyciągnięte z lasu, teraz drugie przed chwilą utopione! Szczęście, że choć trzecie działo, zaprzężone w konie »służby czynnej«, wojskowe, które się nie rozbiegły, wyciągnięto w ostatniej chwili z lasu. Żeby jeszcze jakoś je teraz uratować. Jeśli por. S. wyprowadził w nocy tabor, to tyle jest jeszcze amunicji!

Spalona wieś. Popioły. Popalone ciągniki i samochody nieprzyjacielskie. Znowu trupy, ale tu już całkowicie pomieszanane. Leży mała dziewczynka o lnianych włosach, o parę kroków dalej żołnierz w zielonkawym mundurze. Na zakręcie wsi w rowie nasz ckm wz. 30, na nim w dziwacznej pozie przewieszony jego celowniczy. Jeden drugiego nie opuścił — wierni sobie zostali i po śmierci. Coraz ciężiej wymijać długą 105-tką szczątki samochodów, ciągników i dział. Odgłosy strzałów idą w trop.

W pewnym miejscu droga zupełnie zatarasowana. Wozy widać tędy przechodziły, działo się nie zmieści. Trzeba odprzodkować, może się da nawrócić. Lecz do odprzodkowania musi się przesunąć lufę. Działo staje się wtedy niepomierne długie. Ani mowy, by odwrócić. Z jednej strony dom, z drugiej nawpół spalona ciężarówka. Tyraliera niemiecka już na wzgórzach. O, żeby wtedy było przy dziale parę pocisków — nie trzeba by nawet nawracać!

Żołnierze patrzą pytająco. I to działo stracone. Borowiczowi ktoś jakby serce wydzierał — buntuje się coś w nim i rwie. Tyle potu, tyle pracy, tyle zmęczenia, by uratować i znowu trzeba zostawić. Przecież niemal ostatkiem sił ratowali te na pozór nieme, a jednak wierne i posłuszne woli ludzkiej stalowe potwory. Działo jakby patrzyło na nich błagalnie, jak gdyby chciało powiedzieć swoją czarną czeluścią lufy: »weźcie mnie ze sobą, nie zostawiajcie --- jak dotychczas, wierne będę«. Ludzie patrzyli na nie bezzadnie, bo im coś się rozpaczliwiej ratuje, tym strata jest boleśniejszą.

— Rozebrać zamek! Konie wyprzadz! — Zbliżył się do lufy, zacisnął zęby i wystrzelił cały magazynek z pistoletu do jej wnętrza...

I znowu popioły spalonej zagrody pochłonięły przyrządy celownicze i części rozebranego zamku.

Pozostało ich zaledwie kilku. Działonowy -- kapral jeszcze z wojny bolszewickiej — w ostatniej chwili zbliżył się do działa i niby nawpół żartem, a niby na serio — pogłaskał lufę i rzekł:

— No, zostań se, zostań siroto, a nie gniewaj się na nas!

Lisowice. Ulice w wiosce zavalone jakimś taborem piechoty. Wieś już odcietą od lasów Janowskich. Od strony Hartweldu bije niemiecka artyleria. Strzela pociskami zapalającymi. Co chwila jakiś dom staje w płomieniach. Nikt nie myśli o gaszeniu. Jakiś kapitan piechoty zbiera ludzi — formuje oddział — o zmroku »bagnet na broń«. Aby tylko przejść przez wzgórza i potem w lasy. Tam już nasi. Borowicz idzie ze swoimi ludźmi z karabinem w dłoń. Dochodzą do pierwszego pasma wzgórz — rechot karabinów maszynowych i »hura! hura! huraaa!...« Jeszcze do lasów z półtora kilo-

metra. Czuje, jak obok pada ktoś z jękiem; robi machinalnie to samo. Leży w małym dolku, a gdy chce się podnieść, natychmiast czuje tuż przy twarzy jakby powiew: torf bryzga mu w usta, oczy. Więc zapada ponownie w swym dolku; w nodze czuje piekący ból. Tymczasem jego żołnierze dopadli już do zbawczych lasów. Nie mógł się podnieść...

Długie szeregi wozów i naszych żołnierzy, obłożonych, z pospuszczanymi głowami, zmęczonych --- pędzonych na zachód. Trzęsący wóz i on na nim. Ból nogi. Później ucieczka, parę tygodni spędzonych w gajówce, w gołębniku. Potem Przemyśl - Zasanie. Tłumy przy kolejowym moście, a po drugiej stronie zielone okrągłe czapki »pogranotriadu«, na kamienicach Przemyśla czerwone płachty.

Oficer niemiecki, major, świetnie władający językiem polskim, zapewnia, że jutro będzie wymiana. Kto zechce --- ten przejdzie. Dwa razy dziennie następuje spotkanie na moście oficera niemieckiego z bolszewickim w sprawie wymiany uchodźców. Po tamtej stronie widać o wiele większy tłum. Z tej strony, niemieckiej, poważnie Żydzi i trochę żołnierzy, wracających na wschód. Za każdym razem, gdy major wraca, wszyscy skupiają się wokół, padają te same zawsze pytania: »Czy puszczą dziś?« Ta sama zawsze odpowiedź:

— My was bardzo chętnie puścimy. Nie mamy interesu w tym, by was tu żywić; lecz dziś znowu oficer sowiecki oświadczył, że nie ma dyrektyw z Moskwy.

To samo powtarza się przez z tygodnie. Tłum przy moście z dnia na dzień rośnie, dochodzi do olbrzymich rozmiarów. Na Zasaniu nic już nie można kupić. Lotem błyskawicy leci wreszcie wieść radosna: »Dziś puszczą. Nielegalnie. Między majorem niemieckim a bolszewikiem jest taka umowa«... Od godz. 19 do 24 żadne posterunki nie strzelają do przechodzących przez San w okolicach Przemyśla, lecz tylko na stronę bolszewicką. Natomiast do wszystkich, opuszczających »raj« bolszewicki --- strzelają. Czyli umowa jest jednostronna. Niby legalnie, a niby nie. Major też mówi, że bolszewik zapytany przez niego, co się dzieje po drugiej stronie z tymi, co przeszli, odpowiedział, iż zostają oni aresztowani i przytrzymani aż do sprawdzenia identyczności.

Jesień, San wezbrany, nie ma mowy o przejściu w bród.

Wieczorem, w miejscu wysadzonego mostu drogowego wypływa lekko krypa przepełniona ludźmi. Przejazd kosztuje 10 zł. Krypa kilkakrotnie wypływa nieśmiało na środek rzeki i wraca z powrotem. Po obydwu stronach rzeki na brzegach głucha cisza. Ludziom dech zapiera. Padnie strzał --- czy nie? Na pierwszej krypie ryzykanci, tacy, co to już nic nie mają do stracenia. Wreszcie po długiej niepewności krypa przybija do drugiego brzegu. Słychać jakieś nawoływania.

Teraz cały tłum rzuca się do następnych kryp. Tratują się, rozpychają. Ktoś chce koniecznie zabrać na krypę załadowany wózek dziecinny. Nie ma miejsca. Robi się zamieszanie, krzyk, w wyniku którego wózek wpada w wodę, wyrzucony z krypy. Następuje rozzdzierający lament, potem cisza. Krypa powoli odbija od brzegu. Jest tak cicho, że słychać jak ludziom biją serca.

Dobijają do brzegu. Zza przyczółka mostowego wychodzą jakieś postacie z karabinami »na pierewies«. Zganiają wszystkich szybko z krypy, ustawiają w dwójki, otaczają strażą i prowadzą do więzienia.

Tam zimny jak lód beton. Kobiety i mężczyźni pomieszani. Potrzeby naturalne załatwia się raz dziennie, zbiorowo. To mało, więc załatwia się

je za piecem. Po dwóch dniach ludzi zaczyna ogarniać obłęd. W mniemaniu naszych »opiekunów« jedzenie jest rzeczą zbyteczną i burżuazyjnym przesądem. Ciało ciąży po bezsennych nocach na gołym betonie. Co za straszny ból opuchniętych nóg od całodziennego tłoczenia się! W tym ścis-ku nie ma gdzie usiąść, ani nie ma gdzie się położyć — kości bołą. Czwarty to dzień, a nie ma mowy o żadnym badaniu ani o wypuszczeniu na wolność. Zupełnie jak gdyby zapomniano o tych ludziach. Więzienie przepel-nione. Lecz najstraszniejszą była ta niepewność, to zapomnienie, w jakim się znajdowali. Już po dwóch dniach z celi wyniesiono z kobiety i jakiegoś starszego pana, którym nerwy odmówiły posłuszeństwa.

Niebawem jednak dla Borowicza przyszło zbawienie. Krasnoarmiejec-dozorca i starszy celi wybrał go na pomocnika do kuchni — do mycia kotłów. Pobyt w więzieniu zapowiadał się przeto na dłużej, bo nawet za-częto już dawać pożywienie. To przypadkowe wyróżnienie równało się wol-ności...

W tej chwili jechał pod ławką --- jak i wszyscy --- bez biletu! Ktoby tam teraz kupował bilety!

Myśl jego przeszła na matkę. Wiedział, że jeszcze przed jego wyjazdem na front pracowała w Czerwonym Krzyżu w dawnych »Koszarach Gwardii« przy ul. Teatyńskiej. Ten stary klasztor poddominikański z prawie trzyme-trowej grubości murami mógł być twierdzą. A pewnie i lochy oprzeć się mogły bombie najcięższego kalibru. Borowicz, dziecię Lwowa, znał prawie każdą kamienicę. O matkę był więc spokojny. Ale Ryśka — ona przy swej połowej kuchni pracowała na Głównym dworcu. Przed paroma dniami gdzieś ktoś mu opowiadał, że dworzec uległ ciężkiemu zbombardowaniu...

Szedł Alejami Focha i gdy skręcał na Gródecką minął go motocykl i zatrzymał się raptem. Zrobiło mu się nieprzyjemnie: przed nim stał uzbro-jony milicjant z czerwoną opaską na ramieniu.

— A, to ty? --- zaśmiał się.

Poznał przyjaciela z dawnych lat, Karolka Z., i zrobiło mu się jeszcze bardziej niemiło. Karolek był porządnym »baciaryną« z okolic ogrodu Je-zuickiego, ostatnio z zawodu czeladnik ślusarski.

Zaśmiał się, patrząc na łachmany Borowicza.

— Ot, coś teraz nie tego wyglądasz? Bardziej ci było do pyska w ofi-cerskim ubiorze. Czekej, czekej --- bo mi mój chłopak z kartoflami nawieje. No widzisz, ja teraz milicjant — mam motocykl — jadę na drogę — łapię chłopca z kartoflami czy kapustą — rekwiruję — eskortuję, jak teraz, wi-dzisz, do chałupy. Wtenczas mama i sąsiedzi kupują ile chcą, ja zaś czu-wam, by cena nie była zbyt wygórowana...

Nagle Karolek dziwnie westchnął:

— Ej pamiętasz, jakeśmy razem »Pociągła« czytali o Jósku Ciuchraju i Michałinci Świrk? Oj, dobre były te miglancowskie czasy. Patrz, a ja te-raz muszę tych s...synów kiwać, bo inaczej człowiek z kretesem zdechnie z mamą i tymi mikrusami. Wczoraj zabrał mego wujka do Brygidek, bo jakimś »mużykowi« chciał »cebule omega« za 300 rubli spulać. Janek, wiesz, że we Francji naszych 100.000 już podobno pod bronią? Wiesz — dodał ciszej — ja się namyślam, ale co będzie z moją starą i rodzeństwem? Umrze to z głodu, ta czereda. No, ale muszę cię żegnać, bo mi wóz uciek-nie albo go baby rozdrapią po drodze. Pamiętaj jednak, jak będziesz głodny albo coś ci będzie trzeba, to zaraz przyhulaj do mojej hawiry. No to wałę!

Borowicz szedł dalej. Podniósł głowę i wzrok jego padł na miejsce,

Palily się całe dzielnice, zatrzymał się już całkowicie wodociąg. Gdzie pożar zapuścił korzenie niesposób go już było powstrzymać. Walily się małe domy i ogromne kamienice, grzebiąc pod swoimi gruzami setki osób.

Piekielny świst nurkujących samolotów przenikał wszędzie, targał nerwy, ogłuszał. Groza zerwała tamy rozsądku. Ludzie wyrwali się z palących domów, wygrzebywali z rumowisk i na oślep pędzili przed siebie. Nigdzie schronienia, nigdzie ucieczki, wszędzie gonił potworny warkot stalowych maszyn i przeraźliwy świst skrzydeł. I tak cały niekończący się dzień. Z godziny na godzinę to samo. A przy tym potworne, poniżające poczucie bezsily. Nawet nasze działa plotn. w końcu zamilkły, wystrzelawszy szybko posiadaną porcję amunicji. Dokoła trupy. Wszędzie: w bramach domów, wprost na chodnikach, na jezdni, jęki rannych, ostatnie westchnienia konających, rozpaczliwe wołanie o pomoc a czasem o dobiecie.

Dopiero zmrok odpędził potworną chmurę maszyn znad Warszawy.

cenzura

... Tego dnia spalił się Zamek, katedra, szereg gmachów ministerialnych i tysiące domów. Trzy bomby uderzyły w dom na Wareckiej 7, burząc drukarnię »Robotnika«, a pożar dopełnił dzieła zniszczenia, obracając tę symboliczną już redutę Warszawy w całkowitą ruinę.

... 26. IX bezwietrzna pogoda pozwoliła do pewnego stopnia zlokalizować pożary. Stopniowo wygasaly one po strawieniu domów od strychów do piwnic. Rozpalone mury potęgowały żar na ulicach, którymi przekradały się chyłkiem gromadki ludzi, biegnących po wodę do odległych nierzadziejnic miasta. Niemieckiej artylerii odpowiadał rzadki ogień dział polskich, świadcząc, że Warszawa — chociaż śmiertelnie ranna — jeszcze żyje wolna i niepodległa. Przed wieczorem zamilkły strzały. To nasza delegacja dotarła do dowództwa niemieckiego, które zarządziło przerwę w bombardowaniu Warszawy. Cisza nie trwała jednak zbyt długo. Propozycję dowództwa polskiego zrozumieli Niemcy jako załamanie się woli obrony Warszawy. Wydało się im, że oto już mogą ją wziąć gołymi rękami. Odrzucają zawieszenie broni. Żądają poddania się bez jakichkolwiek warunków.

Zapada zmierzch i wraz z nim z powrotem rozpoczyna się kanonada. Natężenie jej wzrasta z każdą chwilą. Na odcinku Pragi, wału Międzesyńskiego, Mokotowa rozpoczynają atak na miasto. Artyleria polska i strzelcy nie zahań już tej nocy pocisków, gotowi wystrzelać je do ostatka. Więc też huk strzałów zlewa się w potężny łomot, od którego drży ziemia i mury. Strzały zlewały się, potężniały do siły jakiegoś niezziemskiego już zjawiska. Żołnierze zapamiętywali się, Niemcy zaś zrozumieli, że rachuba ich na upadek ducha w mieście zawiodła.

27. IX zostały wznowione rokowania, w wyniku których Warszawa otrzymuje trzy dni faktycznego rozejmu i honorowe warunki kapitulacji.

Karta obrony Warszawy została zamknięta. Ustały odgłosy walki. Cisza zaległa dymiące jeszcze zgłiszczu.